Nr. 26. Częstochowa, dnia 26 grudnia 1937 r. Rok VII.

NIEDZIELA DLA DZIECI



Maleńki Jezus, Zbawca świata
W stajence biednej urodzony,
Pan niebios, ziemi i wszechświata
W żłobku na sianie ułożony.

Przyleciał rój gołębi z pozdrowieniami
W trzepocie skrzydeł śnieżno-białych
Przyniósł Mu w darze ziarenek kilka
I wielką radość serduszek małych.

Maleńki Jezus się uśmiechnął
Wzniósł ręce, uniósł troszkę głowę
I błogosławił światu na piękne,
Na wielkie, na lepsze, na życie nowe.

LIST DO DZIECI.

Mam oto przed sobą kilka listów. Pisze Irminka, Mietek, Edzio, Krysia, Władek i jeszcze tam ktoś. Listy od dzieci z Radomska, Grodziska Mazowieckiego, Będzina, Złotego Potoka, Zawiercia i Łodzi.

Krysia i Irminka są pewnie bardzo dobrymi uczenicami. Listy ich są tak pięknie zaadresowane i tak starannie, bez błędu i czysto napisane. Irminka ma 8 lat i pewnie ciemną główkę — myślę sobie, — Krysia zaś jest chyba blondynką. Z Mietka to pewnie dzielny chłopiec, a Urszulka?... Jak wygląda Urszulka? — Nie wiem. I może nigdy jej nie zobaczę. I może nigdy nie zobaczę Edzia, Władka, Kazi, Ninki i tych wszystkich, którzy do mnie piszą i tych wszystkich dla których i do których ja piszę. Ale przecież w Wigilię Bożego Narodzenia, gdy uświęconym zwyczajem łamać będziecie się opłatkiem i ja się z Wami w myśli opłatkiem podzielę i życzyć Wam będę wiele błogosławieństwa od Dzieciątka Jezus i życzyć Wam będę byście na dobrych, na uczciwych, szlachetnych i pięknych wyrosły ludzi i życzyć Wam będę, Drogie Dzieci, byście dużo, jak najwięcej w życiu miały słońca radości.

Wasza Redaktorka.

Maria Konopnicka.

CHOINKA.

Rozszumiał się, rozhoworzył
Czarny bór z wieczora:
Idą, idą świerki młode
Do białego dwora.
Idą, idą na choinki,
Dla tych małych dzieci,
Muszą przebyć długą drogę,
Nim gwiazda zaświeci.
Idą, idą z czarnej puszczy
W gościnę doroczną,
Pytają się dębów starych,
Jak tam sobie poczną?
Zaszumiały, zahuczały
Dęby przedwiekowe,
I podniosły aż pod niebo
Swoją hardą głowę.
Zaszumiały, zahuczały,
Jak królowie leśni:
— Idźcie, syny, między ludzi,
Wśród borowej pieśni.
Jak staniecie w białym dworze
Przy lipowym progu,
Zaśpiewajcie pieśń borową
Na łowieckim rogu!
Zaśpiewajcie pieśń borową,
Jak to w leśnej głuszy
Żubr poryka, jeżąc grzywy,
A lis stula uszy...
Jak miś bury śpi w barłogu
Łapy ssąc na mrozy,
Jak się jeleń z rogów pyszni
Jak wilk zmyka w łoży
Zaśpiewajcie jak to grają
Po kniejach ogary,
Jak wiewiórka orzech gryzie
Jak drży zając szary.
Jak to okiść srebrną frędzlą
U konarów wisi,
Jaki trop borsuczy w śniegu
A jaki znów lisi...
Jak się echa w puszczy niosą,
Od końca do końca,
Jak my, dęby, w złocie stoim
Od jasnego słońca.
Niechże wiedzą, niechże znają
Wśród małego dworu,
Że nie byle skąd wy rodem
Lecz z naszego boru!

PANI Z HRUSZOWEJ.

(Dokończenie).

Drogą wierzbami wysadzoną, dojdziemy do stuletniego dworu. Zdobi go przyczółek, wsparty na kolumnach, po których latem wiją się pnące rośliny. Dwór tonie w drzewach, w lipach, kasztanach i świerkach. Urządzony jest skromnie i prosto, jak skromna i prosta jest Rodziewiczówna.

Gdy się znajdziemy w wielkim przedpokoju, wyjdzie do nas pani sędziwa już, wzrostu średniego, o siwej głowie, włosach krótko ostrzyżonych, wysokim czole i oczach mądrych i głębokich — to właśnie Rodziewiczówna.

Wyjdzie do nas pewnie w domowym, szarym stroju, w jakim chodzić zwykła i mówić do nas będzie, ot, tak, poprostu i zrozumiale o miłości do ziemi ojczystej, o umiłowaniu pracy, człowieka i Boga. Może Wam powie, to co mnie już powiedziała w swej „Atmie" (powieść Rodziewiczówny) gdy byłam ot taka, jak Wy dziś jesteście — że „celem człowieka-Bogiem wrócić do Boga", a co zrozumiałam dopiero później, w wiele lat później.

Bogiem wrócić do Boga!—to znaczyczy naśladować Pana Jezusa, to znaczy żyć według Jego przykazań, to znaczy umiłować cały świat tak bardzo, jak On umiłował. Trzeba ukochać Boga całą duszą i zapatrzywszy w Niego, tak pięknie żyć, żeby się Jemu podobać. Tak jak żyła Wasza rówieśnica, Dzieci, święta Terenia od Dzieciątka Jezus, jak żył św. Stanisław Kostka.

O takich to wielkich prawdach mówi Rodziewiczówna w swych przepięknych książkach. Rodziewiczówna nie tylko mówi pięknie, ale i pięknie żyje. A życie jej było twarde i ciężkie. Urodziła się Rodziewiczówna w 1863 r. we wsi Pieninka na Grodzieńszczyźnie. Rodzinny jej majątek skonfiskowali Moskale. Hruszowę objęła w 18 roku życia, jako dziedzictwo po zmarłym stryju. Dzięki swej niezmożonej woli i wytężonej pracy, zdołała Rodziewiczówna oczyścić majątek z ciążących na nim długów, zdołała go utrzymać. I pomyślcie, przystąpiła do tego, jako młodziutka, 18-letnia dziewczyna. Ach, borykała się z przeciwnościami. Nieraz samej trzeba było iść za pługiem, wykonywać różne najcięższe roboty gospodarskie, stolarskie, tkackie, koszykarskie. A przecież podołała wszystkiemu. A przecież nie tylko sama nie załamała się, ale jeszcze podnosiła na duchu innych

W bieżącym roku Rodziewiczówna obchodziła 55-lecie swej pracy literackiej, życzymy jej, Drogie Dzieci, by jak najdłużej żyła i by jeszcze wiele pięknych książek wyszło z pod jej pióra. Z. T.

WICKOWA WIGILIA.

Wichry szalały. We wściekłej gonitwie gnały polami kurząc tumanami śniegu, to przypadały nisko do ziemi, czołgały po roli, skamląc żałośliwie, zawodząco i długo. Aż znów się poderwały i z obłąkańczym wyciem pędziły gdzieś w dal, na złamanie karku...

— A to się wiater zbiesił — myślał Wicek, brnąc przez zasypaną szosę do wsi z miasteczka, dokąd wysłał go sołtys po pocztę. — Tańcuje, jak na czarcim weselu. Do wsi będzie jeszcze z pół godziny drogi, a mnie już dożarło mocno.

Poprawił torbę z pocztą, skulił się w sobie, ręce dalej wsunął w rękawy ciężkiego, sołtysowego kożucha i prawie na oślep, bo kurzawa wiała mu prosto w twarz, mały nędzny i bardzo słaby, wśród rózszalałej natury, porał się z wichurą i zamiecią.

— Byleby doleźć do zakrętu, do krzyża, tam za górką już ciszej, bezpieczniej, no i wieś niedaleczko. Wieś — snują się z kominów dymy błękitne, zapachy biją z chat. Przecie to dziś wigilia, Bożenarodzeniowa wigilia. U sołtysów dziewuchy pewnie już ubierają choinkę — myśli Wicek — pewnie. A skoro wzejdzie pierwsza gwiazda...

Cicha noc, święta noc,
Narodzony Boży Syn,
Pan wielkiego majestatu
Niesie dziś całemu światu
Odkupienie win.

Przewinęła mu się przez głowę melodia kolendy. Uśmiechnął się do niej i do swego niecierpliwego pośpiechu. Nie czas jeszcze, jeszcze gwiazdka nie wzeszła.

Uniósł głowę i tej srebrzystej, wigilijnej gwiazdy wglądał na niebie. Ale zły wiatr właśnie nadbiegł i tak go trzasnął pięścią w twarz, że Wicek się zachwiał i upadł w śnieg.

B u r e, zbałwanione, brzuchate chmury nisko zawisły nad ziemią. Pociemniało. Jął padać śnieg coraz gęstszy i gęstszy... Iść dalej nie sposób, więc Wicek szczelniej otula się kożuchem i tyłem odwrócony do wiatru siada na śniegu i postanawia przeczekać nawałnicę.

— Na wszystko przychodzi czas — pociesza się — na wszystko. Przeminie burza i wzejdzie gwiazdka i w chacie u sołtysów zapłonie choinka i ja zdążę na wieczerzę. Zdążę, myśli ciężko i leniwie, bo sen go ogarnia. Głowa mu się kołysze i kiwa. — A śnieg wciąż pada. I coraz mroczniej, posępniej i straszniej.

Wichry dalej tańczą, a nad skuloną w rowie nikłą Wickową postacią tworzy się wysoki nasyp śniegu i całunem grobowym go pokrywa.

Nie zdążył Wicek na wigilię i nie zobaczył już nigdy płonącej choinki.

Z. T.

PRZYGODY TADEJUSZA KOPYĆKO.

(Dokończenie).

Gdy się sobą już nacieszyli, gdy Burek do czysta wymył językiem Tadejuszową buzię, usiedli pod oknem i Tadejusz jął psu trudnym dziecięcym językiem opowiadać jak to się obudził, jak to mysz chrobotała, jak to się okrutnie bał. Z początku słuchał go Burek bardzo uważnie, ale że sen go morzył, więc położył łeb na wyciągniętych łapach i zadrzemał. Śniły mu się rozległe pola i przyczajone w bruzdach zające. Śniły mu się jakieś gonitwy i rozkoszne polowania. W pewnej chwili otworzył oczy i rozejrzał się wokoło. Przytulony do jego boku cicho spał Tadejusz.

Kiedy nocą zbudził mieszkańców wioski krzyk straszny: — Gore! Poderwali się ludzie z łóżek, na drogę wybiegli. Płonęła chata rodziców Tadejusza. Bure i rude dymy ku niebu biły. Po dachu pełzały, jak złe żmije, ruchliwe języki ognia. Rzucili się ludzie na ratunek. Za wiadra porwali, za topory... Skłębiły się pod ciemnym niebem nocy zawodzące lamenty domowników, stuk siekier, syk płomieni, ryk bydła i żałosne Burka wycie. Uwiązany przy budzie pies rwie się i rzuca, szczeka, podnosi ku niebu pysk i wyje długo i przeciągle. — Naraz krzyk ostry i dziki wskroś tego zgiełku, jak świder się przedarł: — Dziecko, dziecko! — Gdzie jest dziecko?!..

Blada groza długimi palcami bezkrwistych rąk ścisnęła wszystkie serca. — Dziecko w płonącym jest domu!

I właśnie wtedy ktoś spuścił z uwięzi Burka. Skoczył pies, jak szalony ,z nosem przy ziemi, węsząc obiegł podwórko, do płaczącej gospodyni dopadł, popatrzył na nią mądrymi oczami, zaskomlał, odwrócił się i długim susem przez okno do płonącej wpadł chaty.

Spłonie — myślano — razem z dzieckiem spłonie, ale powrócił i w pysku przyniósł omdlałego, w tlącej się już sukience Tadejusza. Z. T.

DLA ROZRYWKI.

Szarada (uł. I. W.).

Całe, to czas miły dla każdego żaka;
Odrzuć pierwszą literę, drzewo większe od krzaka.
Zwierząt parę postaw w jednym rzędzie,
a całość słychać w całym mieście będzie.

Rozwiązanie z Nr. 24 „Niedzieli"

1) WRONA, 2) BRONA, 3) GRONA.

Dobrych rozwiązań nadesłano 24. Nagrody drogą losowania otrzymali: 1) Edziu Gołaszewski, Radomsko, ul. Marszałka J. Piłsudskiego nr. 9, m. 9, 2) I. Szewczyk w Dąbrówce, p. Grodzisk Mazowiecki, 3) K. Fabian w Dąbrowie, p. Grodzisk Mazowiecki